

Wspomnienia i refleksje Jana Zysnarskiego

Wpisany przez Administrator

sobota, 20 listopada 2010 16:05 - Poprawiony sobota, 20 listopada 2010 17:07

Autor: Jan Zysnarski <1963-1968>

"Tynkowane ▯ dębową ▯ korą"

Jak to, chol....., zacząć....



uczeń Mojej Woli - Jan Zysnarski "Żararaki"

...zadzwoił Maciek Kucharski i m.in. mówi: "...spotkamy się w Nowym Sączu, na CPN-nie z MacDonaldem i pojedziemy na wiejską kaszanę do mojego domku, a poza tym ... pogadać."

"A słuchaj ... a czym przyjedziesz?"/ jasne, on też nie jest pewny czy się poznamy, bo ostatnio widzieliśmy się 20 lat wcześniej..- Rany Boskie...**20 lat temu!!**/

Jadę i myślę, że spotkam się z repliką Franca-Jozefa, bo tak wygląda w swojej witrynie internetowej..

*(Musiałem zabrać mojego rocznego wodolaza /nowofunlanda/, bo jak zostaje w domu bez opieki, to po 11 min. samotności zaczyna trenować swój przyszły występ na rodeo, a jeszcze jak, przez nieuwagę, w domu ukryje się jeden z kotów, to impreza ma **bardzo** wysoki poziom artystyczny....)*

Wjeżdżamy na CPN i od razu Maćka poznaję /**mimo** braku miotły pod nosem i bokobród ala Franc-Jozef oraz tej nutki austriackich "richter-polowacy" w ubiorze, którą zawsze tak lubił. Po czym go poznałem(?)..no po wielu rzeczach, ale najbardziej chyba po oczach - uważnych, ale jak zawsze z humorkiem, drwinką i dystansem...no i ten duży, czarny kapelusz, który przepycha się z moim, zielonym - przy naszym serdecznym przywitaniu.

Jedziemy w stronę Krynicy, a na większych zakrętach wielki, ciepły i bardzo mokry ozór informuje mnie, że czas stanąć i łapę podnieść...wreszcie - jesteśmy na miejscu. Urocza

chatka, a nad drzwiami stoi jak byk - **MOJA WOLA**. Dacie wiarę - **MOJA WOLA**...te dwa słowa, a tyle dla nas znaczą...

Siadamy i gadamy, gadamy.... o tym z A klasy, o tym z B /a po co ten podział - przecież nie mamy już "obsady" na jedną klasę, bo ten zmarł, ten wyjechał, a o wielu po prostu - nic nie wiadomo...Paru powinno się znaleźć ... Romek Wojtkowiak, Jaśki Piędzioch i Tarasewicz, Wiesiek Świącicki... i znaleźliśmy, i to jeszcze w 2007 roku. Twarze, twarze.... wspomnienia, wspólne przygody, przeżycia i przyjaźnie, z których w moim przypadku tylko jedna przetrwała próbę czasu i siedzi gdzieś tam nad Jeziorakiem...i nagle Maciek mi uświadamia, że to już 40 lat minęło...**40 lat od wyjazdu z tego, tak bardzo znaczącego dla nas miejsca.** Romantyzując - 40 lat minęło od wylotu tych ...orłów, z gniazda krytego tynkiem z kory dębowej... (wiem, że to, i co to, dą
b korkowy
- to, dla perfekcjonistów!).

Wśród nas - żyjących wychowanków tej niezwykłej Szkoły - pozostało zaledwie dwoje naszych wychowawców: Pan dyrektor Zenon Adamczewski i Pani Bogumiła Junikowa. Jakże to smutne...A gdzie reszta tych drogich nam ludzi, bliskich jak Rodzice Przytłacza ta nieuchronność mijającego czasu...

Pada hasło ..." trzeba coś napisać, a raczej zapisać, jakieś wspomnienie "... póki czas...

Wiedziałem już o tym od Marka Jaszczyńskiego, z którym zachowałem urywany kontakt i poczucie kontynuacji naszej szczenięcej przyjaźni. Udało nam się nawet wielokrotnie spotkać w lukach jego rozlicznych i burzliwych małżeństw. Zachowała się ta przyjaźń może i dlatego, że nasze relacje były nienachalne, często pełne ciszy, zamyślenia i wzajemnego dobrego czucia się we własnym towarzystwie, bo przecież przeżywane wówczas młodzieńcze problemy, wypada dzisiaj dyskretnie zmilczeć

Wspomnienia i refleksje Jana Zysnarskiego

Wpisany przez Administrator

sobota, 20 listopada 2010 16:05 - Poprawiony sobota, 20 listopada 2010 17:07

Jest dla mnie zupełnie niepojęte, że właściwie wszyscy moi koledzy szkolni - niemal się nie zmienili psychologicznie, mimo przecież ciężkich ran , które każdy z nas zarobił w życiu. Może tylko ja, mam tak dziwnie skonstruowane oczy, ale kiedy rozmawiam z każdym z nich w ogóle nie czuję tej strasznej dziury czasowej /pomijając oczywiście ten uszlachetniający rys zębu czasu na facjatach/. Myślę, że to wielka, uzdrawiająca wartość i te nasze spotkania, po dobrych i złych latach, regenerują nas, dają siłę do odcięcia się od gnoju chlupiącego w życiu publicznym i powrotu do tych młodych, idealistycznych wyobrażeń o rzeczywistości.

Nieraz zastanawiałem się - co takiego było w Mojej Woli, że dla wielu z nas jest **świętym miejscem**.

Po rezydencjach, które w swoim życiu widziałem /i często remontowałem/ muszę te budowle, chociaż tak romantyczne i miłe, raczej do bardzo skromnych zaliczyć..

W mojej pamięci Technikum Leśne w Miliczu, tak piękne i reprezentacyjne, zapisało się jako zimny monument, a zastosowany wobec nas, w końcu 14-15 letnich dzieci, niemal pruski dryl ? nieraz śni mi się koszmarne po nocach..

Mam świadomość, że uraziłem wielu absolwentów Milicza, którzy opuścili jego mury jako dorośli ludzie i zachowali pamięć o swojej szkole w całkiem innych odczuciach, ale pamiętajcie, że nas z tego pałacu wydalono, jako wyselekcjonowany odpad - nie pasujący do pierwszoklatowych planów , ambicji i wzorców kierownictwa tego Technikum .

Jeszcze dzisiaj pamiętam lekcję z j.polskiego, kiedy straszono nas Moją Wolą , a **ta Szkoła - Moja Wola - prof.Elżbieta Staw** /!/
tam

przyjęła ten wydalony odpad, dała nam wiele wzorców życiowych, te niezapomniane lata, najważniejsze dla całego życia człowieka i zasłużyła na naszą miłość. Tak, ja nie wstydzę się tego napisać: ja to miejsce w czasoprzestrzeni i spotkanych tam ludzi - zwyczajnie kocham i nieraz wracam

tam

,
w moich najlepszych ■ snach.

Dała również /TL Moja Wola/ bardzo przyzwoite przygotowanie zawodowe, które w moim przypadku Poznań /studia/ pogłębił, praca z leśnikami będącymi po lwowskich i niemieckich szkołach uzupełniła, a Skandynawia - dała dystans i możliwość oceny mądrości decydentów naszego Lesnictwa, jego wielkiego skarbu - genialnych , głęboko zamiłowanych w zawodzie KADR - Leśników-terenowców /!/, oraz faktycznej wartości zasobów naszych nauk leśnych /tych, które zna **las**/ , a ponad wszystko - wiedzę rzetelną /!/ o ochronie PRZYRODY i środowiska naturalnego człowieka. Tyle, że ta wiedza nie jest zupełnie nikomu potrzebna w tym Kraju...

Reasumując, Moja Wola dała mi przede wszystkim tzw. kindersztubę, uzupełnienie wychowania domowego i ten fundament,/ a może oprogramowanie/ do budowy na nim całej reszty w życiu.

Czy te budowane na Romantyzmie /a może Pozytywizmie/ wzorce, w sumie bardzo idealistyczne , pomogły mi, czy były kulą u nogi w dorosłym życiu?

Trzeba pamiętać, że nikt nie był w stanie przewidzieć tych, kolosalnych, rewolucyjnych zmian, które zdarzyły się za naszego życia, a które zmieniły do szpiku kości i skały macierzystej, nasze życie , całych społeczeństw i ludzkości.

Te zmiany spowodowały: wywrotka ZSRR, zmiany społeczno-polityczne w Polsce, w Europie i Azji /Chiny, Indie, polaryzacja religijna i wojna w krajach Islamu/ ale /a może przede wszystkim/ i tak prozaiczne już dzisiaj rzeczy, jak - fantastyczny rozwój informatyki , telefon komórkowy oraz komputer.

Pozytywy goniły negatywy: słuszną i konieczną prywatyzacją, z tą kryminalną, rodziły się niebywale fortuny "z powietrza" i skrajna nędza, ale generalnie społeczeństwo wzbogaciło się w tempie astronomicznym. W porównywalnym tempie upadła moralność, bo doimy tzw. Zachód z najgorszych wzorców, tam będących kryminalnym marginesem, a tu będących wzorcem postępu i nowoczesności. Dajemy się jak małe dzieci mamić trującymi, kolorowymi snami rodem z narkotyków, dennej, psychopatycznej twórczości Hollywood, chińskiego kiczu i tandety, pompując kieszenie garstki cwaniaków tonami mamony. Do polityki, jak muchy do g..., zleciały najgorsze typy /i to, zupełnie bez względu na kolor wyznania i futer/, a media w znacznym stopniu sterują tym odrażającym spektaklem kreatur politycznych, robiąc z ludzi umysłowe marionetki i idiotów, oraz samoizolując się od inteligentnych odbiorców. W ostatecznym efekcie /pomijając efekty ekonomiczno-materialne/ jesteśmy świadkami totalnego upadku na twarz wszelkich autorytetów społecznych i religijnych, bo ta łatwo dostępna mamona zdemoralizowała doszczętnie wszystkich, którzy nie mogli powstrzymać się od wyciągnięcia łapy po nią. Garstka ludzi honoru i tych z porządną kindersztubą, siedzi sparaliżowana obawą przed tą gangreną lustracyjną i czy przez ich życie nie przeszedł jakiś zakonspirowany ubek, albo po prostu ma mdłości na samą myśl o wskoczeniu na tę karuzelę. Miłości do ludzi i Boga uczy marny, etatowy katecheta i to, najlepiej słyszalne radio, oraz TV Trwam ...ech szkoda gadać...

W moim życiu, polityka i te "zaszłości historyczne" też narobiły, jak pędrak w pampersa...

Chociaż, moje poglądy polityczne były i **są** socjal- demokratyczne, to definicję /i treść/ do tego określenia zawsze identyfikowałem ze Szwedzką Partią Socjal.- Demokratyczną i jej osiągnięciami. Taki był dureń ze mnie! Za posłużenie się tym wzorem /w 89 r./ na jakimś zebraniu, zostałem ostro zbesztany przez etatowego sekretarza i dobrze, że doszło do wiadomych zmian w Kraju, bo pewnie i naganę bym dostał.. W każdym razie z mojej przynależności i działalności w naszej Polskiej i Zjednoczonej, wielu ludzi odniosło spore korzyści i jeszcze nikt mi tego nie wygarnął jako negatywu.

Z tych czasów bardzo żałuję /wręcz dręczy mnie ta sprawa/, że nie postawiłem własnego gardła na ostrzu noża, kiedy broniłem bliskiego kolegi- leśnika przed ordynarnym i sfabrykowanym dokumentacyjnie atakiem jego przełożonego. Ten podły, małostkowy nadleśniczy-karzeł moralny, doszczętnie wykoleił zawodową karierę tego prawdziwego człowieka lasu, fundując mu życie w mieście..

Ale w tym momencie nikt tego nie był w stanie przewidzieć..., bo wyglądało, to na mało istotny epizot...a wyszło zupełnie inaczej.

Moja sinusoida życiowa, też pilnie trzymała się staropolskiej zasady ... raz na wozie...raz ...zaczynamy od nowa...

Od 1968 r. do 1971 moja kariera była błyskawiczna: praktykant w N-ctwie Syców i ZSLP Wrocław, referent, instruktor i inspektor w Wydz. Transportu OZLP.

Po śmierci mojego Ojca, szefa markowej restauracji w pobliżu biura OZLP, moja cud kariera /chwała i dzięki Bogu!/ wróciła na Ziemię i zostałem instruktorem techniczno-leśnym, a po ukończeniu , w 1974roku, studiów w Poznaniu, adiunktem ?technologiem w N-ctwie Syców. To były czasy dra Zyg. Patalasa, który próbował tę starą kobyłę / p.n.Polskie Leśnictwo/ trochę podrasować.. i biorąc pod uwagę oporność materii i możliwości , to ja oceniam, że było to świeże powietrze w dusznym i ciemnym pokoju...

Potem byłem nadleśniczym terenowym w N-ctwie Legnica, gdzie szefował Henryk Nawrot, inteligentny nadleśniczy nowej generacji, który pozwalał ludziom pracować normalnie tzn. inteligentnie. To był mój dobry czas - wiele się nauczyłem sam i od innych /zwł. Insp.Kuśnierka-postrachu terenowców OZLP Wrocław/. To on nauczył nas m.in.! rozróżniać w CW i CP-drzewko lepiej przyrastające od rozpieracza! To ważny punkt w zawodowej edukacji i życiu Leśnika!

Tam, przez dwa lata strzeliłem 18 dzików powyżej 100 kG /p.w/, a na wycenę!/ wozilem po 24 trofea poroży. Raz "pomyliłem" szczęki 2 szt., bo mi pies zeżarł, i zawiesili mnie na rok.

Mieliśmy tam 2 obwody specjalne dla ścisłego dowództwa - same generały , bo pałkownicy, to były z NKWD - PG Armii Radzieckiej. To były polowania !! Kabanów strzelało się- ile było

trzeba -zwykle już w 1-2 miocie, potem był "sztagan na pień i obiad" - super żarcie - m.in. sało, prawdziwe ruskie pierogi /te z mięsem, a nie błotem ziemniaczanym/, barszcz ukraiński, suszone rybki do przegryzania niebiańskiego bimbru i wiele innych dobrych rzeczy. Polityka zostawała poza lasem, królował żart, śpiew i **durniem** jest ten, co twierdzi, że z "ruskimi" nie można się dogadać, bo to azjaci.... ech szkoda gadać....

Tam, poznałem też cienie i blaski współżycia i pracy z Łemkami /na terenie mojego obrębu 4 leśniczych było Łemkami/, ale w sumie, oceniam ten czas bardzo dobrze i gdyby nie powódź Kaczawy i zniszczenie mojej osady, to pewnie moje życie, inną drogą by pojechało..

Na tej powodziowej fali wróciłem do kochanego Sycowa.

Krótko po tym, z durnowatych powodów politycznych /podobno chodziło o zatarcie dawnej granicy Polski i Niemiec!?!/ rozdarto powiat i n-ctwo Syców, część przekazując do woj. Kaliskiego i OZLP Poznań. Zarząd wrocławski skorzystał z okazji i razem z N.Syców przekazał swojego najgorszego nadleśniczego. Ta kanalia, śmierzący flejtuch i zaprzeczenie wizerunku szefa, już za dwa lata awansował na kryminalistę z solidnym wyrokiem za tępackie machloje z drewnem. Zdążył jednak wykosić paru ludzi, a i mnie skutecznie zaszkodził i spaprał papiery. Nie podaję jego nazwiska, bo jego drugą żoną /pierwsza otruła się grzybami !?!/ była nasza szkolna koleżanka i jako kadrowa /!użytecznie i z zapalem wspierała tego skunksa w świństwach, które robił niespolegliwym ludziom. Podobno potem zmądrzała na swojej drodze życia, więc ten wcześniejszy etap niech omówi ze swoim spowiednikiem....

Krótko o tym jak, ta skatina, mnie udupiała... Jako n-czy terenowy szacowałem ostatecznie tysiące szkód łowieckich. Jedną z nich była formalnie i zupełnie zgodnie z prawem zakontraktowaną plantacją koniczyny nasiennej, którą odwiedzały ochoczo dziki i jelenie. Szkodę oszacowałem zgodnie z przepisami jako nasienną, a potem lało cały tydzień i rolnik wrzucił pleśniąjącą koniczynę do silosu. Wartościowo szkoda była znaczna, więc mój pryncypał, szukając haka na mnie, pojechał na kontrolę w teren / po tygodniu od szacowania/ i złapał mnie na tym poważnym przestępstwie. Potem było natychmiastowe wypowiedzenie dyscyplinarne, doniesienie do prokuratury o przestępstwie i kontrola OZLP, NZLP i w odwrotnej kolejności - umówienie sprawy z braku znamion przestępstwa, cofnięcie wypowiedzenia i...no właśnie, nie mogliśmy zostać razem w Sycowie /drugi n-czy terenowy obr. Bralin, też był w stanie wojny z szefem/. No bo obydwójce mogliśmy dokonać eutanazji na naszym "dobrodzieju".

Wspomnienia i refleksje Jana Zysnarskiego

Wpisany przez Administrator

sobota, 20 listopada 2010 16:05 - Poprawiony sobota, 20 listopada 2010 17:07

Swoją drogą Zarząd miał zgryz dyplomatyczny ze mną, bo krewniak mojego nazwiska był v-wojewodą, a i p. dyrektor OZLP , miał słuszne podstawy do podejrzeń, że jesteśmy krewniakami...

Wtedy zjawił się w Sycowie mój szkolny kolega Maciej Kucharski z wiadomością, że dyrektor Pienińskiego PN poszukuje zastępcy i że może w tej sprawie pomóc.. i tak zrobił, rekomendując mnie.

Trzeba tu wtrącić, że w tych czasach klan Kucharskich, a zwłaszcza przezacny śp.Józef dyr. OTL Stary Sącz/ w nowosądeckim - potęgą był, i basta!

Naczelnikowi Kadr OZLP spadł kamień z serca /krewnym pewnie też, chociaż nikogo nie prosiłem o pomoc/ i umówiliśmy się *po gentelmeńsku*, że ta sprawa z Sycowa zostanie w aktach OZ, a moja czysta teczka personalna pojedzie za mną do Krościenka nad Dunajcem. Pojechała, ale z całym tym sycowskim gnojem /jak to się zdarza *między gentelmenami* / i zamiast z-cą dyrektora PPN, zostałem adiunktem p.o. zastępcy.

Opisałem kolegom, tę historyjkę ku przestrodze i przypomnienia, w chwili zawieranie *takich* umów.

I znowu moja sinusoida, po sięgnięciu dna szamba, zaczęła drogę do góry....

To duża frajda pracować w Parku Narodowym i pozornie spora niezależność - dla prawdziwego przyrodnika , to wyzwanie, ale trzeba uważać na układy i politykę...

Był tam poważny konflikt ekologiczny - budowa zapory czorsztyńskiej, który ostatecznie postawił ten Park na szczycie finansowego piedestału. Za odszkodowania Park wybudował

znakomitą, na warunki polskie, infrastrukturę i jeszcze było Ministerstwo L i PD mocno podratował.

PIENINY, to temat na odrębną książkę. Parę lat fajnej pracy i współżycia z górską NATURĄ, zakończony gorzką pigułką.. Mój nieodżałowany szef śp. E.Szyda odchodzi na emeryturę, a za krótką chwilę na zawsze...

...na jego miejsce przychodzi, ktoś pewnie znacznie mocniejszy i lepszy ode mnie. Jako organizator i realizator inwestycji budowlanych ? myślę i przyznaję, że tak, ale biologię i ekologię, to ja lepiej czuję...

Nagle, z dnia na dzień, wszystko co robiłem przez 6 lat jest złe, nawet jak mówię "dzień dobry", to drażnię i pouczam nowego dyrektora, a więcszkoda gadać...

..zostaję dyrektorem i prezesem Zarządu małego SKR-u z którego w 4 lata robię firmę budowlaną, zdolną do budowy wież przekaźników TV, mostów 30-tonowych, ulic z kanalizacjami, dróg górskich i wszelkiej infrastruktury miejsko-wiejskiej.. Przychodzi koniec lat 80-tych i cofnięcie skr-om przez BGŻ kredytów obrotowych i cała ta kretyńska i polityczna akcja dławienia możliwości działania wiejskiej spółdzielczosci, jako *koministycznego reliktu*. To, co polska wieś tworzyła z takim trudem, pod zaborami i w okresie międzywojennym, jak: banki spółdzielcze, kółka rolnicze i różne spółdzielnie , nagle stało się

reliktem komuny

... ech, szkoda gadać...

.. .przez rok próbuję stworzyć spółkę, holding z Politechniką Warszawską, która chce wnieść jako aport do s-ki niebagatelną wiedzę i nowe technologie, ale brakuje kasy na sfinansowanie rozruchu, a propozycję sfinansowania tego kosztem części majątku SKR uznałem za zbyt ryzykowną dla mnie i ostatecznie uznałem się za pokonanego...

...mając dzisiejszą wiedzę, tzw.mądrość....oj, wiedział bym co zrobić...a tak trzeba się było

wylizać ze stanu przedzawałowego i znowu coś zacząć...

Po moim odejściu, ten SKR, o całkiem jeszcze niezłej kondycji ekonomicznej, poddano tzw. przekształceniu prywatyzacyjnemu i pozostały po nim tylko skreślenia w Księgach Wieczystych...

Zakładam małą firmę remontowo-budowlaną i zaczynam tzw. turystykę pracowniczą, sam lub 2-4 dobrymi góralami - fachmanami budowlanymi. Wiedeń, Salzburg, Frankfurt n/M, Hanau, Villach i 100 innych nazw na mapie i prawie zawsze ciekawe inwestycje. Czasem realizacja czyichś fantazji - pseudoruiny, kaskady wodne, oczka wodne, podziemne baseny, sauny, solaria, apartamenty, ordynacje lekarskie, zamki i rezydencje ludzi z górnej półki... Galeria ludzi kulturalnych, nowobogackich i urodzonych na wysokim poziomie, i takich, którym najmniejszy problem wyciąga słomę z butów, i arystokratów-alkoholików /często z niebywałą klasą utrzymujących chwiejny krok/. Studium psychologiczne zabytków ludzkich, ale i zabytków kultury materialnej. Temat - rzeka...

Zawsze marzyłem o pracy dla jakiegoś programu ratowania czegoś w przyrodzie. Wiecie - Diskovery, National Geographic... I nagle - mój przyjaciel Heniu Jędrzejczak nadleśniczy /z tych prawdziwych n-czych,(nota bene był adiunktem w Sycowie u Fr. Czerwińskiego "...koniec, gotowe...", w naszych czasach)/, daje mi cynk, że syn Juliana Mazura /b.naczelnika Kadr i "Szarej Eminencji" w OZLP Wrocław/ chce budować ośrodek dzikich, ginących zwierząt z przeznaczeniem do re- i introdukcji w przyrodzie. Poznaje mnie z Kazimierzem, biznesmenem wrocławskim, działaczem SLD, dla którego jako firma i osoba nadzorująco-kierująca będę pracował przez 3 lata. To trudne lata, ale pełne nadziei, mieszkania w nędznym hotelu, codziennych dojazdów 29 km stromą, dziurawą drogą, na zupełnie zdziczałe tereny przy czeskiej granicy. Klimat podobny jak na Czerwonych Wierchach w Tatrach - deszcz padał 3-4 razy dziennie poziomo, zima od października do maja, wiatry - bezustanne.. klimatyczna makabra. Ale będziemy hodować po pierwsze: głuszce i cietrzewie, te rycerze wśród ptaków.

Zjadam całą literaturę na ten temat, korespondencja z Białorusią, Szwecją, Ukrainą i Niemcami. Jedną , całą zimę ślęczę nad dokumentacją Ośrodka.. Nigdy nie myślałem, że hodowla tych

ptaków zawiera tyle tajemnic i jest tak trudna, delikatna i ryzykowna, a jeszcze do tego będziemy hodować muflona.

124 ha dzikiego terenu zaczynają dzielić dziesiątki kilometrów ogrodzeń zewnętrznych, wewnętrznych, izolacyjnych otulin, dróg, mostów, ujęć wody, obiektów energetycznych, terenów i budowli do przyszłych hodowli i mieszkalnych dla personelu, oraz rozlicznej infrastruktury wodnej stawów; konieczna jest melioracja na całym terenie. Przez 3 lata w specjalny sposób - zalesionych, zadrzewionych i zakrzewionych zostaje ponad 100 ha zdegradowanych gruntów porolnych. Z terenu całej ODLP we Wrocławiu zwożę sadzonki, w znacznej części darowane na ten cel przez naleśnictwa..

I dużo marzeń, planów - tu będą stawy z rybami, tu stadnina koni, tu zwierzyniec z leśną fauną, żeby tatuś mógł synkowi pokazać jak wygląda dzik, a jak sarna, a z drugiej strony góry będzie hotel i ośrodek dydaktyczno-szkoleniowy, i strefa wolnoćlowa, i zapora wodna ze zbiornikiem retencyjnym.... póki SLD było u władzy, było to realne i zasuwało do przodu...

Imieniny 24 czerwca- upał straszny. Zjeżdża się sporo różnych znajomych. Budowa Ośrodka jest b.znana w okolicy, zatrudniamy sezonowo do 60-70 ludzi. Ognisko, kielbasa, czeska gorzała /bo tania, a granica o krok/.. Przyjeżdża z Wrocławia i Szef, fajnie i wesoło.. Ale ja zaczynam się źle czuć i jadę do hotelu... W nocy pogotowie, dojeżdżamy do szpitala jak staje serce... masaż, reanimacja, no i udało się - żyję..ale rutynowe zdjęcia RTG wykazały jakieś guzy w płucu...i może to być **wyrok**..

Do szpitala przyjeżdża żona Teresa, wracam z Krainy Marzeń do domu, mocno wystraszony...

Wkrótce SLD przegra wybory i władzę nad funduszami ochrony środowiska, i Ośrodek też zachoruje finansowo...**wielka szkoda, ale kogo teraz obchodzi**, że w Polsce, na naszych oczach, wyginą jakieś tam ptasie, leśne rycerze... jakie to smutne..

Ostatecznie ląduję w zakopiańskim szpitalu, za oknem mam piękno Tatr, w pysku trociny i rdzawe opilki po chemii, a w sercu prawie rozpacz, bo 3 miesięczne leczenie jest bezowocne...a pobyt w szpitalu, gdzie leży wiele przypadków onkologicznych, bardzo edukuje...

...operacja 31 paźdz., w przeddzień Wszystkich Świętych.. 30 paźdz. idę na spacer, na słynny cmentarz Pod Pęksowym Brzyskiem, zapalam świece na grobach Makuszyńskiego, Chelmońskiego, /tyle tu słynnych nazwisk/ i mojego znajomego Hasiora Władka...jakoś dziwnie się czuję- tak, jak bym był gdzieś obok, i sam siebie widział stojącego przy tym grobie...wracam do szpitala, kąpiel, środki nasenne i lulu, jutro ważny dzień!.

"Wszystko poszło dobrze" - słyszę po obudzeniu, a uśmiechy na twarzach chirurga i asystentki, z dużą podejrzliwością, oceniłem jako szczere...

Potem, jak zawieźli mnie na OIOM uświadamiam sobie, że całą narkozę przeżywałem po Laponii, że gadałem z Larsem, Marią, Signarem, Olafem, że schlapała mnie woda nad Storfosen i bardzo chcę tam jechać, najlepiej - zaraz!!..

Ale, chwilowo jestem, jak fachowo sprawiony indyk wiekanocny i wpierv trzeba się wylizać.

Trwało to prawie rok, ale mimo straszliwych komplikacji w postaci "zespołu barku bolesnego", do czego walenie przyczyniła się durna reumatolog, **wylazłem i jadę na moją ukochaną Północ.**

Czym jest dla mnie Laponia ? Kwindesencją Natury, tym Bożym Cudem, którego człowiek jeszcze nie zdążył spartolić swoją cywilizacją. Poza tym, w tamtych górach, nad błękitnymi jeziorami i białymi wodospadami mieszka Bóg, który bez żadnego wezwania i prośby, w każdej chwili ma ochotę pogadać, nawet z takim smaciarzem, jak ja. Nigdy nie udało mi się to, w tych pięknych, złotych świątyniach na południu...może nie można mnie rozpoznać w garniturze i krawacie ?

Mieszkają tam ludzie, którzy będą bronić tej NATURY, przed każdym złoczyńcą i przed każdą koniunkturalną ideologią i modą. Od 1980 r. byłem tam wiele razy . Ci ludzie nie oszukali mnie na jedną koronę, nigdy nie złamali danego słowa, czy obietnicy, nigdy nie zabrakło mi tam pieniędzy, nigdy nie byłem głodny i bardzo mi odpowiada ich małowówność.

Praca jest bardzo trudna, bo podstawą jest perfekcjonizm!

W leśnictwie usprzętowanie z najwyższej, światowej półki, ale praca bardzo uciążliwa, ze względu na to , że cała Północna Skandynawia, to skała macierzysta, z cieniutką pozłotką dopiero tworzącej się gleby. Mnóstwo jezior, bagien , strumieni i terenów o charakterze gołoborzy, szczelnie zamaskowanych 60 - 100 cm grubości mchem. Bardzo, bardzo niebezpiecznie - każdy nieprzygotowany krok, czy stąpienie " na ślepo" , może być początkiem wielkich problemów, bo tereny prawie bezludne. Czasem do najbliższego całorocznego domu jest 80 - 100 km!

Ale Szwedzi są fenomenalnie zorganizowani - świetna łączność, ratownictwo, na każdej ręce nawigator GPS, mapy fotogrametryczne, 100 %towa komputeryzacja. Wszyscy wiedzą gdzie jesteś i co będziesz robił, bo to warunek przetrwania, twojego przetrwania. Jak staniesz na drodze, to 90 % kierowców stanie i zapyta, co ci trzeba, nawet bez sygnalizowania. Jak staniesz przy torze kolejowym i pomachasz, to każdy pociąg się zatrzyma. Możesz przespać się w każdym domku, napalić w piecu i zjeść jedzenie ze spiżarni, popłynąć łodzią na ryby, ale odchodząc masz obowiązek narąbać drewna i zostawić coś z jedzenia. Nie układaj kamieni przy ognisku, bo będzie wielkie " bach" i będziesz szukał godzinę rondla w metrowych jagodzinach. Świeżo odwrócony duży kamień - uważaj, bo obok jest niedźwiedź i może być stary i wredny /są super inteligentne i mają, jak ludzie swoje typy psychologiczne; możesz trafić na flegmatyka, ale częściej trafia się choleryk/, itp.,itd . Pokochałem tę Krainę - nawet z jej komarami i meszkami....

O Laponii można godzinami gadać...a jeszcze jak zaprzyjaźnisz się z Lapończykami, którzy ostentacyjnie olewają swoich okupantów Szwedów... to już temat - wielka rzeka...

Muszę jednak kończyć, bo i tak swój metraż poważnie przekroczyłem..

Co mogę napisać na koniec?? Mam honor oświadczyć, że nigdy nie wyciągnęłam łapy po cudze /państwowe, a więc "niczyje," też!/. Nigdy nie wzięłam łapówki - nie licząc kwiatów i flaszki- ofiarowanej w drodze rewanżu, za ważną dla kogoś przysługę. Nie zrobiłam tzw. przekrętu, bo do mądrego i wartego zachodu nie miałam okazji, a głupie - niech robią głupcy.

Mam gdzie mieszkać, czym jeździć, dorosłe dzieci, żonę, młodego psa, parę groszy na koncie w dobrym banku i chciałbym jeszcze kupić małą chatkę w Laponii i jeździć tam tak długo, aż mi wędka wyleci z ręki...

A dlaczego taki jestem? Bo mój Ojciec nazywał się Marian Zysnarski, Matka Anna z d. Michna, z Milicza wywalił mnie p. Ptaszyński, a w Mojej Woli moją opiekunką była "Stawka" - profesor Elżbieta Staw, w hodowli uczył mnie "Wujo"- profesor Joachim Zaprzalski, w łowiectwa "Żuber" - profesor Krzysztof Włodek , a dyrektorem Tej Niezwykłej Szkoły był w "De Gaulle" - Pan Zenon Adamczewski..... Amen.....i..

Darz Bór

Wspomnienia i refleksje Jana Zysnarskiego

Wpisany przez Administrator

sobota, 20 listopada 2010 16:05 - Poprawiony sobota, 20 listopada 2010 17:07

Krościenko n/Dunajcem 20072008.